

Mołoch żąda zmian

18 sierpnia 2007

Zaraz po takiej tragedii jak ta pod La Salette nie powinno się wprowadzać zmian w ustawodawstwie o ruchu drogowym.

Kolejna tragedia i jak zwykle prezydent udaje się osobiście na miejsce wypadku, ogłasza słusznie żałobę, zupełnie niesłusznie przyznaje niewspółmierną w porównaniu do innych podobnych nieszczęść pomoc finansową, której potem brakuje dla tych, którzy zostali ranni albo których bliscy zginęli pojedynczo lub w mniejszej grupie. Ale to wszystko wchodzi niejako do rytuału władzy, która zawsze wykorzystywała tego typu okazje do zaprezentowania się jako dobry ojciec poddanych. Lud tego oczekuje i można rzecz, że ci, którzy zginą w większej grupie, mają swego rodzaju szczęście w nieszczęściu, coś na kształt losu pocieszenia.

Jednak w związku z tragedią pielgrzymów we Francji uwidoczniło się w całej pełni inne, bardzo niepokojące zjawisko. Jego przykładem jest zachowanie ministra Polaczka, który choć nie zna się na polityce transportowej, to jednak bardzo dobrze wyczuwa to, czego oczekują od niego wyborcy i sam premier. Głowę dam, że ten urzędnik przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć, że do La Salette trzeba zbudować autostradę, wysadzić trochę skał, żeby złagodzić zakręt, uprościć procedury eksmisji mieszkańców i koniecznie wyciąć wszystkie przydrożne drzewa. Ale widocznie ktoś mu doradził, że to jednak przesada, a że rzecz się zdarzyła poza Polską, więc Francuzi mogliby taki koncept wyśmiać i dać Polakom do myślenia, a tego unikać należy jak ognia.

Minister Polaczek wiedział jednak, że w takiej sytuacji wszyscy oczekują od niego jednej rzeczy: żeby „coś zrobić”. To „coś” to kiedyś było złożenie ofiary, czasem był to koziołek, a czasem człowiek, żeby zagniewane bóstwo udobruchać. Żyjemy w czasach na szczęście łagodniejszych, ale minister Polaczek na

pewno zadrżał, że to przecież on z racji pełnionego urzędu jest dosyć blisko symbolicznego stosu, a ponieważ nie ma zmiłuj, więc kogoś poświęcić trzeba. W takiej sytuacji obowiązujący algorytm nakazuje bezwzględnie obronę przez atak. Więc najpierw kontrola w firmie przewozowej i biurze turystycznym. Wykryć jakiś mandat czy nieporządek w papierach – to pewniak i niczym nie grozi, przy obecnym gąszczu przepisów na pewno się coś znajdzie, a drobny biznesmen nie ma szans się zemścić czy nawet poskarżyć.

To jednak oczywiście za mało. Trzeba coś zmienić, koniecznie i to już nazajutrz, gdy wnikliwi dziennikarze zaproszą go do radiowych Sygnałów Dnia. Co trzeba zmienić? Ano oczywiście procedury, zarządzenia, przepisy, jeszcze lepiej ustawy, a już najlepiej zaproponować pakiet ustaw i kompleksowe działania. Oczywiście trzeba dodać, że one już są w ministerstwie przygotowywane, że od dawna trwają prace, a teraz tylko się dopilnuje, żeby zostały przyspieszone. Jakie zmiany? Takie, które sprawią, że już nigdy więcej taka tragedia się nie powtórzy. Kierowca miał 22 lata, więc trzeba wprowadzić zmianę, że będzie można prowadzić autobusy od 24 – gdyby miał 52, to byłoby, że do 50. Ludzie jechali autobusem i ocaleli głównie ci, których uderzenie wyrzuciło na zewnątrz, ale to nic, minister zapowiada, że wprowadzi przymus zapinania pasów przez pasażerów autobusów, nie kojarząc najwyraźniej, że w tym wypadku oznaczałoby to zwiększenie liczby śmiertelnych ofiar do 50, z czego większość spaliłaby się żywcem. Ale dziennikarze też nie skojarzyli, więc się udało.

Powie ktoś, że się wyzłośliwiam, bo nie lubię ministra Polaczka. To fakt, nie jest moim faworytem, ale na poparcie moich tez przytoczyłbym zachowanie ministra Polaczka wobec motocyklistów rozjeżdżających tereny cenne przyrodniczo. Po tym, jak jeden z nich zabił na szlaku turystę, jedna z posłanek skierowała do ministra Polaczka interpelację domagającą się egzekucji i zaostrzenia prawa z tym związanego. Ale tu nie było mediów, zresztą od początku sprawa rozjechania

turysty na szlaku – oprócz jednego tekstu w „Gazecie Wyborczej” – nie trafiła na czołówki gazet, bo lobby motoryzacyjne jest jednym z najsilniejszych. I odpowiednio do tego zachował się minister Polaczek. Poradził posłance, żeby się udała ze swoimi postulatami do ministra Kaczmarka. Gwoli uzupełnienia, warto tylko dodać, że minister Kaczmarek, który w tym samym czasie dostał tę samą interpelację, poradził udać się z nią do... zgadliście, do ministra Polaczka.

Wiara w zbawienną moc procedur nie dotyczy jednak tylko takich sytuacji, jak opisana powyżej. Czytam sobie np. felieton Rafała A. Ziemkiewicza, w którym pisze on, że „W cywilizowanym świecie urząd ma ściśle określone obowiązki i procedury, dlatego nie ma tam miejsca na żadne »jak się da to się załatwi« i na żaden »układ«”, po czym polemizuje z premierem, który słusznie skądinąd uważa, że najważniejsze są kadry. Jeszcze inny przykład takiego myślenia o „cywilizowanym świecie” to ciągłe reformy służby zdrowia i edukacji. Pieniądze mają iść za pacjentem, dobre szpitale mają zarabiać więcej niż złe, dobrzy nauczyciele więcej od złych itp., itd. Rozumiem, że o tym, kto jest dobry, zadecydują dobrzy dyrektorzy szkół i szpitali, tych z kolei wybiorą w drodze dobrze pomyślanego i absolutnie obiektywnego konkursu dobrzy ministrowie z dobrego, wyłonionego w dobrych wyborach parlamentu, a parlament wybiorą dobrzy nauczyciele i dobrzy lekarze według dobrze przemyślanej ordynacji zaproponowanej przez świetnych publicystów...

Można by oczywiście ten naiwny prawniczy pozytywizm skwitować klasyczną historyjką o sędzim, który zawsze sądził sprawiedliwie, choć wyrok uzależniał od rezultatu rzutu kośćmi, więc zebrała się wysoka komisja, żeby osądzić, co z tym fantem zrobić, i zdecydowała na podstawie... no chyba nie trzeba kończyć.

Szkoda byłoby jednak rzecz całą sprowadzać do anegdoty, bo zjawisko to ma bardzo głębokie korzenie i konsekwencje. Jak wspomniałem, wiara w to, że wszystko na świecie ma swoją

przyczynę, na którą ludzie mogą wpłynąć, znajdowała dawniej wyraz w składaniu ofiar przebłagalnych. Inna, bardziej dojrzała forma radzenia sobie z tego typu nieszczęściami to żałoba, czyli okres ciszy, zadumy, przemyśleń, a także czas na wypłakanie się. Bardzo dobrze widać to obserwując np. palestyńskie kobiety wybuchające rytualnym płaczem po utracie swoich najbliższych – co ciekawe, zalety takiego zachowania odkrywa dzisiaj akademicka psychologia. Czasami była to też pokuta, zobowiązanie do jakiegoś wyrzeczenia, ćwiczenie charakteru. Jest w tym jednocześnie pokora, polegająca na uznaniu, że rozum ludzki nie wszystko ogarnia i że wyroki boskie nie zawsze są zbadane.

Dzisiejsza cywilizacja wraca do pierwszego podejścia, lecz ma już inne bożyszczka. Pożeracza koziołków i dziewic zastąpił inny mołoch. Nie wymaga on, by ludzie byli odpowiedzialni, sprawiedliwi, wytrwali, mężni, rozważni, krótko mówiąc, by ćwiczyli się w cnotach. Byłoby to racjonalne, bo obok zwykłego zbiegu okoliczności to ich brak jest przyczyną katastrof, z jakimi mieliśmy ostatnio do czynienia (zawalenie się dachu na wystawie gołębiarzy, tragedia w Halembie, a teraz pod La Salette). Współczesny mołoch z pozoru nie jest wymagający, mówi nam, że jeżeli gdzieś popełniliśmy błąd, to jest to błąd techniczny, jak owe „przyczyny techniczne” tłumaczące spóźnienie się pociągu. Kodeks zasad moralnych, ale i zdrowy rozsądek zastąpiła w nim inżynieria społeczna i administracyjna, głosząca w zależności od miejsca i czasu albo że wszystkie problemy rozwiąże socjalizm, albo na odwrót, powtarzająca niczym mantrę zaklęcia o tym, że zbawieniem będzie tak samo totalna prywatyzacja i poddanie wszystkiego regułom rynku i konkurencji, wprowadzenie kolejnych pakietów ustaw, reform szkolnictwa i procedur takich, jakie są w „cywilizowanych” czy „normalnych” krajach.

Kiedy indziej będzie to inżynieria w ścisłym tego słowa znaczeniu, czyli przekonanie, że wszystkie problemy rozwiążą nowe technologie. Autostrady pod każdym domem zmniejszą liczbę

wypadków. Helikoptery w każdym ogródku zlikwidują korki. Branie lekarstw na zapas zmniejszy liczbę chorób. Komputery zmniejszą liczbę urzędników. Telewizja w każdym pokoju podniesie poziom oświaty. Itp., itd.

Nie chcę w tym miejscu twierdzić, że doktryny ekonomiczne czy procedury nie mają żadnego znaczenia, a wynalazki czy wiedza nie czynią czasem życia przyjemniejszym. Jednak, w odróżnieniu od większości publicystów, wiem, że choć procedury bywają bardzo podobne np. w Palermo i Helsinkach, w Danii i Bułgarii, a autostrad jest tyle samo we Francji i w Wielkiej Brytanii, to tak naprawdę niewiele z tego wynika. Także w odróżnieniu od polskich publicystów oraz polityków wywodzących się ze świata akademickiego, wiem też dobrze, że to jaka jest atmosfera w danym, tzw. normalnym zakładzie pracy, nie zależy głównie od tego, czy jest on państwowy czy prywatny, czy są takie lub inne procedury i struktury. Zależy natomiast w największym stopniu od tego, jakim człowiekiem jest dyrektor oraz jakich dobiera sobie współpracowników. W tym sensie premier Kaczyński ma zupełną rację, wymieniając ludzi zamiast mnożyć kolejne rozporządzenia. Jakość tych ludzi to już temat na inny tekst. Te przykłady to tylko wierzchołek rzeczywistości, która przeczy modnym teoriom. Idąc tym tropem, o wiele bardziej wolałbym być sądzony np. przez mądrego i sprawiedliwego króla siedzącego pod dębem niż przez większość współczesnych sędziów, zaopatrzonych w kodeksy, procedury, niezależność, mityczny trójpodział władzy i przekonaną o własnej nieomyślności twarz profesora Zolla. Tak samo wolałbym, żeby kierowcą mojego autobusu był człowiek bez specjalnych kursów doskonalenia zawodowego, ale mający wpojone od małego, że 30 km na godzinę równa się 30, a nie 80, a narażanie siebie i innych ludzi na śmierć lub kalectwo to zbrodnia i głupota. Komuś, kto tego nie rozumie, procedury niewiele pomogą, tak samo jak żadne procedury i elektroniczne gadżety nie uchronią nas przed zgubnymi skutkami działań zakompleksionego durnia na wysokim stanowisku.

Podstawowym błędem tego modnego widzenia świata jest z jednej strony pokładanie przez współczesną ideologię i jej wyznawców przesadnej wiary w szeroko rozumiane rozwiązania techniczne, a z drugiej lekceważenie czynnika ludzkiego, jego poziomu moralnego, duchowego i intelektualnego. Rolę boga pełni więc moloch techniki i inżynierii społeczno-ekonomicznej. Podstawowym dogmatem wiary jest niezachwiane przekonanie o tym, że najlepszy system to taki, w którym nie ma miejsca na sumienie i zdrowy rozsądek, ale także na – jak w przypadku rynkowej ortodoksji – miłosierdzie i wspaniałomyślność, szczególnie w wydaniu wspólnotowym czy państwowym. Prymitywny indywidualizm i prywata też znakomicie się w ten ponury schemat wpasowują. Jest w tej nowoczesnej religii intelektualna pycha i moralne wygodnictwo. Ta pierwsza mówi nam, że wszystko, w tym lepszą ludzką egzystencję można „wymyślić”. To drugie zwalnia nas z obowiązku mówienia rzeczy niemiłych o nas samych. Jeżeli mamy do wyboru wezwanie do nawrócenia i „tworzenie” nowych, lepszych procedur, łatwiej wybrać to drugie.

Można sobie tylko wyobrazić oburzenie – i to „moralne” – gdyby minister Polaczek powiedział, że tak jak pod La Salette, tak samo w 99% wypadków samochodowych w naszym kraju winna jest nawet nie brawura, lecz głupota i potworne chamstwo polskich kierowców, którzy, tak jak w życiu, nie liczą się na drodze z nikim i z niczym. Zabobonny kult idzie tu w parze z negowaniem i przemilczaniem prawdy, obliczonym na wyborczy sukces u elektoratu lub – jak w przypadku mediów – na rynkową popularność wśród czytelników. Takie samo oburzenie wywołałoby też stwierdzenie, że po prostu zdarzył się pechowy zbieg okoliczności i nic nie da się zrobić. Z tymi zabobonami spleta się wiara w tak zwany postęp, która sprawia, że zmiana jako taka postrzegana jest jako coś pozytywnego, lepszego od trwania. Jej głosiciele przypominają w tym malarzy, którzy nie znają wartości czerni, muzyków, którzy nie wiedzą, czym jest cisza, filozofów, którzy nie potrafią przyznać się, że czegoś nie wiedzą, mówców, którzy nie umieją milczeć, zwierzchników,

którzy nie pojmują, że zajmowanie się bzdurami zabiera czas na robienie czegoś sensownego, w tym choćby na wypoczynek i swobodne myślenie.

Co ciekawe, zjawisko takie nie jest li tylko fenomenem naszej cywilizacji. Gdy upadał Rzym, niektóre zaniepokojone tym umysły przyczynę widziały w nadmiernym skomplikowaniu prawa i domagały się jego radykalnego uproszczenia, łącznie z powrotem do początkowych 12 tablic. Niektórzy władcy w sferze schyłkowej imperium próbowali reform idących w tym kierunku, ale z miernym skutkiem, bo tak jak obecnie uproszczenia (często mówią o nich liberałowie, likwidujący np. ulgi podatkowe czy wprowadzający podatek liniowy) okazały się bezradne wobec czegoś, co nazwałbym korozją serc i umysłów na masową skalę, i paradoksalnie często same okazywały się jej przejawem. Tak samo dzisiaj nasza cywilizacja zapomniała jakby, że człowiek, niczym pielgrzym, idzie ciągle tą samą drogą wśród przepaści i że w tej wędrówce nie istnieją żadne cudowne rozwiązania techniczne ani magiczne procedury, które mogłyby zastąpić gorące serce, chłodny umysł i szlachetny, mocny charakter. To one, z jednej strony, nakazują przestrzegać znaków zakazu wjazdu czy ograniczeń prędkości, ale z drugiej wskazują, że woła wyciąga się ze studni nawet w szabat, a robotnikowi, który się spóźnił, płaci czasem tyle samo, co innym, a z radości, że syn marnotrawny się poprawił, urządza się ucztę. Można by nawet zaryzykować tezę, że cały sukces zachodniej cywilizacji opierał się właśnie nie na procedurach, lecz na tych, bardzo zbliżonych do niektórych nauk Dalekiego Wschodu paradoksach, które czyniły ją tak intelektualnie płodną, a przede wszystkim – mimo wielu popełnianych w jej imieniu okrucieństw – jednak na tle innych moralnie atrakcyjną

Gdyby dzisiaj wrócić do tych zasad, pewno trzeba by zacząć od wprowadzenia jednej procedury, a raczej obyczaju. Takiego mianowicie, że w okresie kilku tygodni po takiej tragedii jak ta pod La Salette, nie wprowadza się żadnych zmian w

ustawodawstwie dotyczącym transportu drogowego i w ogóle o nich nie gada, a kierowcy w Polsce sypią głowy popiołem i jeżdżą zgodnie z przepisami.

Autor: Olaf Swolkień

Źródło: [Obywatel](#)